Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

EXPRESS WIECZORNY ILUSTROWANY.

ROK III. | ŁÓDŹ, PONIEDZIAŁEK 30 MARCA 1925 r. | NUMER POJEDYŃCZY 20 GROSZY. | Nr. 73

„Mordobicie" w Savoy na tle honorowem

Gołemi szablami wygoniono awanturnika z lokalu.

Koniec akcji rozegrał się w komisarjacie.

Tradycyjnym sposobem załatwiania wszelkich spraw honorowych w high-lifie łódzkim jest t. zw. „mordobicie", czynność, polegająca na daktyloskopijnem odciskaniu palców rąk na twarzy przeciwnika.

Pięść stała się argumentem specyficznie łódzkim w najzawilszych kwestjach stosunków towarzyskich, szczególnie w lokalach publicznych, gdzie niema ani jednego dnia, w którym policja nie musiałaby interwenjować i rozdzielać policzkujących się dżentlemenów.

W ubiegłym tygodniu, w piątek wieczorem, sala restauracyjna „Savoy'u" była widownią większego skandalu towarzyskiego, w którym końcową akcję odgrywała jak zwykle policja.

Przyczyny awantury.

Naprzeciw estrady zajęte były trzy stoliki, stojące jeden obok drugiego.

Pierwszy stolik zajęty był przez pannę U., córkę jednego z właścicieli kawiarń łódzkich, jej znajomego, siostrę i towarzysza siostry, drugi stolik zajmowali dwaj oficerowie armji francuskiej i kilku hallerczyków, przy trzecim zaś stoliku siedzieli trzej pułkownicy wojsk polskich wraz z pewnym cywilem.

Ponieważ w sali restauracyjnej „Savoy'u" jest bardzo ciasno i jeden stolik stoi prawie szczelnie przy drugim w pewnej chwili znajomy panny U. w czasie powstania z krzesła, trącił niechcący łokciem cywila z towarzystwa pułkowników.

Cywil uczuł się tem lekceważącym potrąceniem dotknięty na honorze wobec czego rzekł głośno do amanta:

— Mógłby pan chociażby przeprosić!

Na co otrzymał następującą odpowiedź:

— **Niema kogo przepraszać!...**

Oczywiście odpowiedź taka zdenerwowała cywila, **który nie podnosząc się nawet z krzesła wymierzył mu policzek.**

Spoliczkowany nie spodziewał się nawet takiego obrotu sprawy, nie mógł się więc w pierwszej chwili zorjentować w sytuacji, począł tylko machać rękoma bardziej w celu obronnym, niż ofenzywnym i nie jego winą było, że uderzył cywila dwa razy w ramię.

Precedens do awantury, odpowiadający gustom łodzian, był doskonały: nikogoby to nawet nie zdziwiło, gdyby obaj napastnicy wyciągnęli rewolwery, chcąc zbrodnią przypieczętować obrazę honoru.

Do tak strasznej jednak ostateczności nie doszło — **dzięki interwencji panów pułkowników rozdzielono policzkujących się wzajemnie dżentlemenów.**

Lecz nie na tem koniec jeszcze.

Błysnęły gołe szable!...

Spoliczkowany wrócił do swego stolika zdenerwowany, czerwony i zły.

Panna U. starała się go uspokoić, lecz ludzi „dotkniętych na honorze" trudno przywrócić do równowagi umysłowej.

Tymczasem towarzystwo z „Savoy'u" bardzo było rozbawione awanturą i humorysta, występujący na estradzie, ułożył na poczekaniu kilka dowcipnych kupletów na ten temat.

Pewien niski, korpulentny oficer francuski z sąsiedniego stolika przechodził od spoliczkowanego do cywila, podburzając obydwóch do dalszych wystąpień.

Na plony tej agitacji nie trzeba było długo czekać.

Spoliczkowany wyprowadził pannę U. jej siostrę i towarzysza siostry z sali, poczem wrócił do swego stolika kazał sobie podać duże kufle piwa, flaszkę wódki i począł pić na umór.

Od czasu do czasu pozostałość z kieliszków wylewał w stronę cywila, który kpił sobie z łobuzerskich kawałów swego przeciwnika.

Gdy bezczelność spoliczkowanego stała się już niemożliwa, wówczas jeden z pułkowników zwrócił się z prośbą o wyrzucenie za drzwi natrętnego gościa.

Właściciel lokalu chciał zadość uczynić prośbie swych gości, lecz napotkał na upór ze strony spoliczkowanego, który będąc nieco podchmielonym, obrzucił stekiem wyzwisk całe towarzystwo.

Gdy cywil zareagował słownie na jego mietakt ten ostatni rzucił się na swego przeciwnika i chciał go pobić.

Spotkała go jednak niezwykła uprzejmość — **oto pułkownicy, przyjaciele cywila, wyciągnęli z pochew szable i skrzyżowali je nad głową swego przyjaciela.**

Awanturnik stropił się, zazgrzytał zębami i starał się spoliczkować cywila, **lecz pułkownicy nacierając gołemi szablami usiłowali wyprowadzić go z sali.**

Gdy całe towarzystwo, conajmniej oryginalne, znalazło się przy drzwiach, do lokalu weszła policja i zaaresztowała **„dotkniętego na honorze", zabierając go ze sobą do komisarjatu.**

Bagiński i Wieczorkiewicz zamordowani!

Zabójstwa dokonał policjant, eskortujący więźniów.

Warszawa, 30 marca.

Według wiadomości otrzymanych ze Stołpc, po załatwieniu formalności wywieziono wczoraj zrana z Białegostoku do granicy sowieckiej skazańców Wieczorkiewicza i Bagińskiego. Jak wiadomo Wieczorkiewicz i Bagiński mieli być wymienieni na polskiego urzędnika konsularnego, Łaszkiewicza, skazanego przez sądy sowieckie na śmierć, oraz na ks. Usasa, działacza, któremu groził proces sądowy. P. Łaszkiewicz oczekiwał na wykonanie wyroku od 17 miesięcy.

Wczoraj około godziny trzeciej po południu pociąg, wiozący Wieczorkiewicza i Bagińskiego minął stację graniczną polską, Stołpce i zbliżył się do stacji kolejowej sowieckiej Kołosowa. W wagonie, gdzie siedzieli Wieczorkiewicz i Bagiński znajdowała się silna eskorta wojskowa i policyjna oraz władze administracyjne i sądowe.

W pewnej chwili jeden z eskortujących policjantów, niejaki Muraszko dobył rewolweru i zbliżywszy się do więźniów, dał do nich kilka strzałów. Bagiński został zabity na miejscu, Wieczorkiewicz jest podobno śmiertelnie ranny. Muraszko po wystrzałach oddał rewolwer władzy i kazał się aresztować mówiąc:

— Sądzę, że spełniłem czyn patrjotyczny, zabijając zbrodniarzy.

Pociąg cofnięto do Stołpców i zarządzono dochodzenie co do motywów zabójstwa. Muraszco nie grozi sąd doraźny

W Kołosowie oczekiwał na wymianę p. Łaszkiewicz, zaś ks. Usas był podobno w drodze do granicy.

Dr. Marx zostanie prezydentem Rzeszy?

Kandydaturę jego wystawi zblokowana lewica przy wyborach 26-go kwietnia.

Berlin, 30 marca.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

Podczas wczorajszych wyborów, które uważać należało za próbę sił poszczególnych stronnictw, gdyż zgóry było wiadomo, że żaden z kandydatów nie uzyska absolutnej większości głosów, wymaganej przez konstytucję, okazało się, że stronnictwa lewicowe (socjaliści, demokraci i centrum) otrzymały razem olbrzymią większość głosów.

Wobec tego wielce prawdopodobnem jest utworzenie bloku lewicy, która przy wyborach następnych, odbyć się mających 26 kwietnia, wystawi wspólnego kandydata.

W kołach dobrze poinformowanych wymieniają jako kandydata zblokowanej lewicy d-ra Marksa.

Wtym wypadku wybór dr. Marksa na prezydenta Rzeszy uważać należy za zupełnie prawdopodobny.

Lewiński.

Ostatnie wyniki wyborów.

Radjotelegram własny „Expressu".

Berlin, 30 marca.

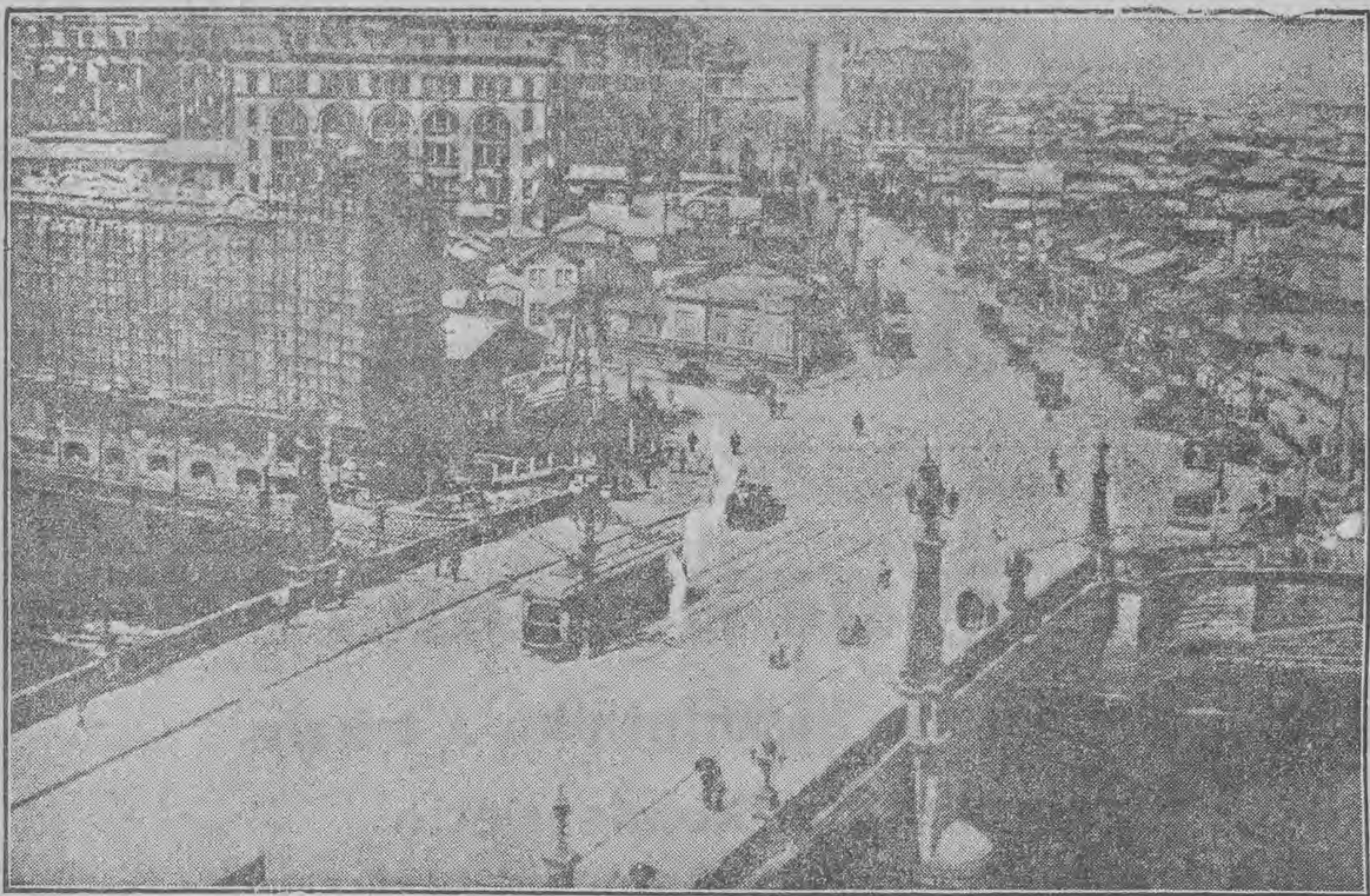
Przez całą noc trwały obliczenia głosów. O godzinie 5 nad ranem ogłoszono oficjalnie następujący wynik tymczasowy wyborów:

Do chwili obecnej złożono 24,649,291 głosów. Większość absolutna wynosi 12,324,645.

Na poszczególnych kandydatów padło głosów:

Dr. Braun — 7,630,040
Dr. Hell — 967,123
Dr. Hellpach — 1,530,80[illegible]
Dr. Jarres — 9,226,948
Ludendorf — 324,65[illegible]
Marx — 3,728,110
Thalmann — 1,790,005

Dalsze meldunki i obliczenia trwają.



Katastrofalny pożar w Tokjo. Widok na ocalałą dzielnicę miasta, zbudowaną według wzorów amerykańskich.

„Polityka - to świnia" mniema p. Witos

:o:

Rewelacje posła Anusza o wodzu piastowców.

:o:

Nie „rząd dusz", lecz panowanie nad ciałem. — Jak Witos utrącił Piłsudskiego.— Witos o prez. Narutowiczu. — Metody Witosa, jako premjera.

(Poseł Antoni Anusz napisał i wydał bardzo ciekawą broszurkę o Wincentym Witosie Broszurka podzielona jest na dwie części. W pierwszej, pisanej w r. 1921, przedstawione są zdolności i zalety p. Witosa. W drugiej jego wady i braki, które sprawiły, że przywódca ten piastowców zmarnował się i upadł.

Przytaczamy tu niżej wyjątki z broszury posła Anusza).

Patrzyłem wówczas (r. 1920) zbliska na działalność Witosa, patrzyłem z uczuciem podziwu, jaki budzi widok wytężonej pracy, podjętej z zapałem, przeprowadzonej w imię wielkiego celu.

Nie zdobyła się wówczas na sprawiedliwy i rzetelny stosunek do Witosa nasza prawica społeczna. Gdy ochłonięto ze strachu po odparciu najazdu, postarano się co rychlej zapomnieć o zasługach Witosa, aby tem lepiej pamiętać o tem, że był on przedstawicielem emancypacyjnych dążeń ludu wiejskiego.

Oszczerstwa, pogardliwe obelgi, miotane w jego stronę z obozu prawicowego zwichnęły linję prawidłowego, organicznego rozwoju indywidualności politycznej Witosa.

Na wysokiem stanowisku, w obliczu wielkich zadań nabierał on powagi moralnej, rosło w nim poczucie odpowiedzialności, kształtowało się pojmowanie władzy—jako trud, troska i służba. Nic to, że Witosowi brakło kultury politycznej, że jego wiedza o państwie znajdowała się na poziomie całkiem niskim, że jego pojęcia o trzech najważniejszych dziedzinach życia państwowego: wojsku, skarbie i polityce zagranicznej nie o wiele przewyższały to, co w Polsce wie i rozumie w tych sprawach przeciętny wójt, lecz braki te były znakomicie rekompensowane przez właściwą mu bystrość umysłu wielkie napięcie woli i pod niosły nastrój, płynący z przejęcia się tą historyczną rolą, jaka stała się jego udziałem.

Gdyby ten proces moralnego dojrzewania Witosa odbywał się w sprzyjających warunkach społeczno - politycznych, Polska cała miałaby dzisiaj w jego osobie polityka o dużym autorytecie.

Niestety, opinja publiczna polska, rozdzierana sprzecznościami, zakłócana echem lat niewoli, nie posiadała tej zwartości i mocy, aby udaremnić systematyczną nagankę i nieustające szczucie, stając w obronie człowieka, który się dobrze wywiązał z powierzonego mu kierownictwa losami Rzeczypospolitej w najcięższych chwilach jej istnienia. **Pod wpływem naganki i szczucia ustało dojrzewanie moralne i narastanie od wewnątrz, a odżyła i wzmogła się w nim przytłumiona nieufność, podejrzliwość, zawziętość i drapieżność.**

Nie mając od natury prostoty gołębiej **lecz drapieżne instynkty szczupaka, gdy się zetknął w tak osobliwej chwili z brakiem dobrej woli i poczucia sprawiedliwośc, nabrał przekonania że jedynie przebiegłość wężowa popłaca i niezawodnie prowadzi do celu i że celem tym powinien być nie „rząd dusz", lecz panowanie nad ciałami.**

Witos chce być pierwszym człowiekiem w Polsce.

Witos chciał tylko zwyciężać, chciał zawsze być górą, chciał za wszelką cenę posiadać władzę, czuł bowiem instynktownie, że po sprzeniewierzeniu się postulatom demokracji tyle jest wart, ile posiada władzy. **Stąd to niecierpliwe, gorączkowe dążenie Witosa do władzy, do odgrywania pierwszej roli w państwie.**

W dążeniu tem Witos widział na swej drodze **jako zawadę Piłsudskiego; przedewszystkiem więc zajął się usunięciem w cień jego osoby. Posunięcia Witosa przeciwko Piłsudskiemu są szczytem nielojalności politycznej.** Wszak do wyborów stronnictwo Witosa szło z nazwiskiem Piłsudskiego jako swoim kandydatem na prezydenta Rzeczypospolitej. Pomimo to Witos już w czasie agitacji wyborczej zwierzał się swym najbliższym przyjaciołom z zamiarem utrącenia Piłsudskiego z prezydentury.

Gdy się obserwowało podówczas Witosa, nie można było oprzeć się wrażeniu, **że Witos chciał być za wszelką cenę wybrany na prezydenta, chociaż z równą pewnością nie można twierdzić, że chciał nim być w rzeczywistości.**

Prawdopodobnie zrezygnowałby na rzecz kogoś, ktoby dawał gwarancję, **że będzie się kierował na stanowisku prezydenta jego zakulisowemi dyrektywami, słowem, zgodzi się być jego „człowiekiem".**

Lecz już sam wybór na prezydenta dokonany głosami tych, którzy go do niedawna lżyli i znieważali, nasyciłby jego obrażoną dumę i dałby kompletną satysfakcję. Te w równym stopniu poziome co i przezroczyste pobudki zachowania się Witosa w czasie wyboru prezydenta, były dla jego najbliższych bezinteresownych przyjaciół rzeczą niewymownie przykrą, bo pomniejszającą w ich oczach jego wartość, jako wyobraziciela siły moralnej naszego włościaństwa.

Witos wrogiem prezydenta Narutowicza.

Gdy G. Narutowicz przyjął wybór na prezydenta Rzeczypospolitej, pierwsze słowa,jakie usłyszałem z ust Witosa o wybranym prezydencie, były następujące: **„To człowiek stary, trawiony przez chorobę cukrową, ma przed sobą najwyżej pół roku życia".** Z odpychającą bezdusznością Witos na zimno obliczał miesiące życia pierwszego prezydenta i zastanawiał się nie nad tem, jak się ułoży jego współpraca z wybranym prezydentem, lecz nad tem, kiedy się skończy pasmo dni jego życia i aktualną stanie się sprawa wyboru jego następcy!..

Podczas wyborów następcy zamordowanego prezydenta zachowanie się Witosa niesłychanie oburzyło większość jego własnego klubu. Uderza dzwonek wzywający na Zgromadzenie Narodowe, a klub nie powziął jeszcze decyzji, na kogo odda swoje głosy. Witos, który przed chwilą powrócił z kuluarów, stoi na uboczu, milczy i na coś jeszcze czeka. Wreszcie większością głosów zapada decyzja postawienia kandydatury Stanisława Wojciechowskiego. **Decyzję tę Witos powitał wściekłym błyskiem oczuW świetle tego błysku ukazały się prawdziwe rysy jego indywidualności moralnej.**

Zawiedziony w swych rachubach pod czas dwukrotnych wyborów prezydenta Witos wyruszył na zdobycie dla siebie stanowiska prezesa rady ministrów.

Nie byłoby w tem nic niewłaściwego, gdyby temu dążeniu towarzyszyła szlachetna ambicia zasłużenia się państwu, dobrze przemyślany program działania i zdolność *realizacji* powziętych zamierzeń. Nie chodzi mi w tym wypadku o radykalizm lub lewicowość programu.

Uczciwe i umiejętne sposoby realizowania najbardziej umiarkowanego programu nie dałyby mi moralnego prawa do wypowiedzenia tego, co zawierają następujące słowa. Jeżeli nie waham się bezwzględnie potępić i przestrzec przed działalnością Witosa w jego dzisiejszej fazie rozwoju, to czynię to przedewszystkiem ze względu na metody tej działalności, które szerzą niesłychaną demoralizację w naszem życiu zbiorowem, wprowadzając do naszych stosunków politycznych nieznane przedtem praktyki korupcji i karjerowiczowstwa.

Polityk bez skrupułów.

Chcąc zająć stanowisko prezesa rady ministrów, **Witos uruchomił cały aparat środków jakimi rozporządzał przy swych rozległych wpływach, nie krępując się żadnemi skrupułami, zgodnie z wyznawanem przez siebie przekonaniem, że „polityka — to świnia".** Tem przekonaniem nasiąkł Witos za czasów galicyjsko wiedeńskich, **gdzie polityka była szczeblem do osobistego wyniesienia i karjery,** i właściwie nigdy nie przestawał niem trącić w wyzwolonej Polsce, lecz dopiero w drugim sejmie z przekonania tego czynił praktyczny użytek z jakąś gorączkową, niespokojną namiętnością.

Przekonanie to w praktyce prowadziło do kaptowania sobie ludzi i wciągania w orbitę własnych widoków drogą łechtania ich chciwości i próżności. **Własna natura i własne doświadczenie kazały mu mniemać, że droga ta jest najbardziej niezawodną.** Taka właściwa Witosowi ocena ludzi i ich pobudek działania zwalniała go od nieznośnego dlań obowiązku szanowania i lojalnego traktowania swoich współpracowników. Uczucie szacunku i poczucie lojalności względem nich jest mu najzupełniej obce.

Antoni Anusz.



ONA — Na ile lat wyglądam?...
ON — (pragnąc być eleganckim) Hm!... Nie wiem!... Ale w każdym razie wygląda pani na połowę swych lat...

Rys. Banaszowa.

Goście jugosłowiańscy

oglądali Zgierz, Pabjanice, Konstantynów, Aleksandrów, Ozorków i t. p.

Zapomniano im tylko pokazać... Łódź.

Nie przebrzmiały jeszcze echa skandalu który powstał na tle niezaproszenia na uroczystość nieznanego żołnierza organizacji wojskowych, a już mamy do czynienia z nowym nie mniej charakterystycznym.

Do Łodzi przybyła wycieczka jugosłowiańska „Obilić. Nie trzeba chyba uzasadniać tego, że wizyta jugosłowian w Polsce, miała dla nas wielkie znaczenie propagandystyczne. Zdawałoby się wobec tego, że gościom nie zabraknie w Łodzi nawet ptasiego mleka.

Tymczasem...

Program „uroczystego" przyjęcia opracowano skandalicznie. Młodych śpiewaków mimo ich woli zapakowano do wagonów tramwajowych i wywieziono za miasto by pokazać im... Zgierz.

Po drodze, na każdym prawie przystanku, tramwaj zatrzymywano, gdyż każdy uważał za stosowne wygłosić mowę powitalną. Gościom zdudziło się to aż do obrzydzenia. Mało tego, bezpośrednio po powrocie miał się odbyć koncert chóru. Laik wie, że śpiewak przed występem musi być wypoczęty, tymczasem miast wypoczynku częstowano gości mentolem i surowemi jajkami...

Według z góry opracowanej recepty to samo powtórzono na bankiecie. Goście skarżyli się, że nie pozwolono im jeść, gdyż co chwilę podnosił się ktoś i palił mowę... powitalną...

Następnego dnia wywieziono jugosłowian do Pabjanic. Dlaczego nie do Konstantynowa — pozostanie to zapewne na zawsze tajemnicą komitetu. O godzinie 4-ej nastąpił powrót a o 5-ej zapowiedziano koncert.

Amerykańskie tempo w męczeniu ludzi...

Tymczasem jugosłowianie będąc w Łodzi nic prócz Pabjanic, Zgierza i czterech ścian swej katedry nie zobaczyli. Nie pokazano im ani fabryk, mimo iż o to prosili, nie pokazano im wogóle miasta. Przyjechali wypoczęci — wyjechali nie ludzko zmęczeni. Pod tym względem krzyż zasługi otrzymać winien niefortunny komitet, który jak się okazało nie zna elementarnego pojęcia o sposobie przyjmowania gości zagranicznych. Czas zatem najwyższy aby na przyszłość, ludziom tym nie powierzać zaszczytu reprezentowania miasta wobec zagranicy. Civis.

W karetce pogotowia poprzez miasto.

Dziś o 6-ej rano zmarła nagle 61-letnia Cecylja Błaszczykowa, matka robotnika.

Śmierć nastąpiła przed przybyciem lekarza pogotowia.

Zwłoki pozostawiono na miejscu w obecności policji.

***

Dziś nad ranem przy ul. Przejazd spadł ze schodów woźny sądu okręgowego 32-letni Leon Nowak, uległszy wykręceniu prawego przedramienia.

Zawezwany lekarz pogotowia po skonstatowaniu uszkodzenia lekkiego, pozostawił go na miejscu.

***

W mieszkaniu przy ulicy Zawadzkiej Nr. 30 o godz. 12.35 po północy uległ atakowi epileptycznemu 36-letni Andrzej Kuna.

Lekarz pogotowia po udzieleniu pomocy choremu, pozostawił go na miejscu.

O 3-ej w nocy rozległy się na sali restauracyjnej odgłosy policzków

Bójka w restauracji „Teatralnej" została zlikwidowana przez policję.

Godzina 3 po północy... Boczny stolik restauracji teatralnej obsiadło kilkunastu lekarzy, powracających z ogólnego zebrania...

Atmosfera na sali była gorąca i podniecona.

Kilka par tańczyło na środku sali..., z bocznych stolików dobiegał gwar głośnej hałaśliwej rozmowy, gdzieś w kącie jakiś podchmielony gość obdarzał niezbyt parlamentarnemi epitetami swego towarzysza.

Muzyka nagle umilkła, by po chwili rozebrzmieć dźwiękami egzotycznego „bluesa".

Na środku sali pojawiła się para — for.dancerka i znany tancmistrz łódzki p. H.

Na tej parze skupiła się uwaga wszystkich zebranych.

Kołysali się w pięknem zręcznem pas szybko i zwinnie robili obroty — popisywali się akrobatycznemi figurami...

Muzyka umilkła, zrejterowali więc ze środka sali, a w ślad za niemi posypał się grad oklasków...

Nagle z drugiej sali dobiegł odgłos burdy...

Dwóch z lekarzy dr. A. i dr. G. powstali od stolika i pośpieszyli w stronę, skąd dochodził odgłos awantury...

Jakiś pijany gość prowadził żywą nie cenzuralną „rozmowę" z p. H., który na próżno starał się pozbyć napastnika.

W pewnym momencie p. H. usiłował zbiec, co zdenerwowało widocznie napastnika, który złapawszy p. H. za rękaw, spoliczkował go.

Wśród koła widzów, którzy przypatrywali się tej burdzie, powstało zamieszanie.

Jakaś niewiasta poczęła histerycznym głosem wzywać policję, ktoś zaalarmował służbę, która pobiegła zawiadomić o zajściu posterunek policyjny.

W międzyczasie dr. A. postanowił interwenjować i doszedł do dwóch zapaśników, którzy walczyli ze sobą przy pomocy wszelkiego rodzaju dozwolonych i niedozwolonych „chwytów" i uderzeń.

Interwencja ta miała dla interweniującego bardzo przykre skutki — obydwaj zapaśnicy zwrócili się przeciwko dr. A., który w mgnieniu oka został podwójnie spoliczkowany.

Po chwili na placu „boju" pojawił się przedstawiciel władzy bezpieczeństwa publicznego, który zlikwidował zajście, zabierając napastnika i poszkodowanych do komisarjatu policji, gdzie o zajściu spisano protokół.

Rozkoszna tajemnica „chiromantki".

W pokoiku hotelowym urządziła sobie „gabinet", gdzie przyjmowała wyłącznie przedstawicieli rodu męskiego.

Rychło jednak nastąpił zmierzch jej karjery.

Z Warszawy donoszą nam:

Do hotelu „Włoskiego" (Kozia 1) wprowadziła się p. Anna Iwanowa, rzekomo wdowa po pułkowniku b. wojsk rosyjskich, osoba elegancka i przystojna.

— Jestem bez środków do życia — rzekła smutnie do właścicielki hotelu, p. Chyżowej, — opiekuje się mną wujaszek człowiek bardzo skąpy i dlatego błagam panią o wystawianie wyższych rachunków za pokój, bym mogła sobie odłożyć kilka złotych na drobne wydatki.

P. Chyżowa, wzruszona skargą lokatorki, policzyła przy końcu miesiąca za numer ze światłem 84 złote, a na pokwitowaniu napisała z czystem sumieniem cyfrę 180. Wujaszek uregulował należność i wszyscy byli zadowoleni, ale niezbyt długo.

Po pewnym czasie, jedna z posługaczek hotelowych zauważyła, że opiekun zbyt wiele poświęca czasu swej pupilce spędza w jej pokoiku długie godziny, przyczem nie uważa, by ukazywanie się wobec służby w negliżu było czynem niewłaściwym.

Prócz tego wyszły na jaw jeszcze inne szczegóły. Pani Iwanowa, zapisana na liście lokatorów jako „chiromantka", miała klijentelę składającą się wyłącznie z mężczyzn w wieku poborowym, którzy podczas nieobecności „wujaszka", zabawiali młodą niewiastę nietylko rozmową.

Wreszcie dalsza obserwacja ujawniła pewien fakt, który do żywego dotknął właścicielkę hotelu. Okazało się, że p. Iwanowa ma podebrane klucze i wpuszcza na własną rękę do numerów parki szukające samotności!

Tego już było zawiele. P. Chyżowa wymówiła mieszkanie lekkomyślnej lokatorce, ta zaś, przez zemstę, zaskarżyła gospodynię o uprawianie lichwy i jako dowód przedstawiła fikcyjne kwity, wystawione z dobrego serca.

Sędzia Grużewski, ze względu na drażliwość tematu, zarządził zamknięcie drzwi. Pani Chyżowa została uwolniona od wszelkiej odpowiedzialności.

„Wujaszek", p. S., wyrzekł się pokrewieństwa z p. Iwanową.

Wystrzegać się numeru 20415806!

Jest to numer, którym są oznaczone fałszywe 5-dolarówki.

Konsulat generalny Stanów Zjednoczonych ogłasza, iż ostatnio ukazały się w obiegu podrobione banknoty 5 dolarowe (Silver Certificate) serji r. 1889 B. nr. 4 z podpisami H. V. Speelman, Register of the Treasury; Frank White, Treasurer of the United States; z głową indjanina.

Banknoty te drukowane są na cienkim papierze bez nitek jedwabnych, ogólny wygląd banknotu jest wyblakły co odrazu rzuca się w oczy.

Pieczęć i druga cyfra V. wraz z pokrywającym ją napisem „Five" wykonane są ręcznie niebieskim tuszem. Cyfry numeracji są za duże i odbite nierówno. Najbardziej są rozpowszechnione banknoty nr. 20415806.

KUPON KOLARSKI „EXPRESSU"

z dn. 30 marca 1925 r.

uprawniający do udziału w losowaniu roweru marki angielskiej „Lijon", nabytego w firmie **A. Brawerman, ul. Prez. Narutowicza 9**

Nazwisko i imię ____________

Adres ____________

Wyciąć i wrzucić wraz z kuponem „Republiki" w zamkniętej kopercie do skrzynki przy ul. Piotrkowskiej 49 w podwórzu.

Co powiedział „Expressowi“ mecenas Piotr Kon?

Pocieszający epilog sprawy, która nie była tak smutna, jak się na pierwszy rzut oka wydawać mogło.

Echa nieporozumienia przy zielonym stoliku i rehabilitacja pewnego inżyniera.

W jednym z numerów „Expressu" z ubiegłego tygodnia poruszyliśmy niezwykle drażliwą kwestję nieuczciwej gry w karty, która w Łodzi wśród rozmaitych sfer wyrobiła sobie nieomal prawo „obywatelstwa". Palcem wskazuje się na szulerów, którzy żyją poprostu z bandytyzmu karcianego, a jednak tu i owdzie patrzy się na to przez palce i ludzi tych przyjmuje się nawet w towarzystwie.

Jeśli są to rzeczy nawet znane, to do tychczas utrzymywało się je prawie w tajemnicy przed szerszą opinją publiczną. Z okazji wydrukowania przez „Express" artykułu w tej sprawie, do redakcji naszej zgłosił się cały szereg osób.

— Artykuł „Expressu" — mówił nam jeden z tych gości, znany w szerokich kołach lekarz — uczynił wiele dobrego. Gra w karty jest bardzo stara i mimo wszystko, co się o niej mówi, ludzie grali, grają, i będą grać w karty. Naturalnie ludzie pracy, ludzie uczciwi stronią zarówno od gier hazardowych, jak i od nałogowej gry wogóle. Nie mniej jednak nikomu nie można mieć za złe gry komercyjnej lub nawet pokera na małą skalę, gdy przegrana lub wygrana niewiele zaważy w budżecie człowieka. W naszych warunkach, w nierozwiniętym pod względem kulturalnym mieście, gdzie tak trudno o godziwą rozrywkę, ludzie inteligentni, należący często do wyzwolonych zawodów, zbierają się czasem w swych związkowych lokalach, by przepędzić kilka godzin przy zielonym stoliku, spotkać się ze znajomemi, lub pomówić o tym i o owym. Tak samo— w mieszkaniach prywatnych. Trzeba przyznać, iż gra w karty niekiedy przybiera rozmiary niedopuszczalne, że słab sze jednostki o mniej wyrobionym charakterze ulegają pokusie niedżentelmeńskiego zachowania się i dla tych właśnie artykuł „Expressu" jest doskonałym ostrzeżeniem. Skoro jednak powrócić do konkretnego wypadku, opisanego w dzienniku panów, to pozwolę sobie, jako osoba trzecia i niezainteresowana — mówił dalej nasz gość — zwrócił uwagę iż fakt, zaszły z inżynierem X. po rozejrzeniu się na zimno w materjale rzeczowym jest dzisiaj nieco odmiennie traktowany przez obecnych i tych, którzy stoją bardzo blisko całej sprawy i należałoby raz jeszcze doń powrócić...

***

Aby wyświetlić ostatecznie kwestję która miała miejsce w zamkniętym gronie i łatwo mogła dostać się w skażonej formie na szerokie forum, redakcja „Expressu" zwróciła się do najlepszego źródła informacyjnego, a mianowicie do p mecenasa Piotra Kona, znanego powszechnie ze zaszczytnej swej obywatelskiej działalności luminarza adwokatury, któ ry w tym wypadku brał bezpośredni udział w zajściu z inż. X. przy zielonym stoliku. P. mecenas Kon z całą gotowoś cią zaofiarował nam swe wyjaśnienia.

— Cieszy mię niezmiernie — rozpoczął p. mecenas rozmowę ze spółpracownikiem „Expressu", iż po kilku dniach fermentu w kole bliższych mych i dalszych znajomych, mogę zabrać głos w tej przykrej sprawie i sprostować pewne nieścisłości, które przedostały się na szersze forum. Nieporozumienie moje z inżynierem X. przy zielonym stoliku nie miało żadnych cech, któreby pozwoliły wyciągać wnioski co do nieuczciwego prowadzenia gry inż. X. Zupełnie odwrotnie: jako prawnik, traktuję każdego szulera, jako zbrodniarza, niejako bandytę karcianego, i gdybym złapał na tym ohydnym uczynku najlepszego przyjaciela, nie zawahałbym się w ciągu 24 godzin zawiadomić o tym urząd śledczy. Jako człowiek, który kieruje się zawsze zasadami moralności społecznej, ręczę panu słowem, iż ani ja, ani nikt z obecnych osób, nie dopatrzył się w grze inżyniera X. jakichkolwiek bądź cech występku lub nawet gry, nie licującej z zachowaniem się dżentelmena.

Całe zajście było zwykłym nieporozumieniem, jak to się czasem przy kartach zdarza i broń mnie Boże, abym z nieporozumienia mógł ciągnąć wnioski, stawiające pod znakiem zapytania honor mego partnera.

Byłoby mi bardzo miło, gdyby słowa moje ukazały się w druku, i by zaświadczyły wobec szerokich kół do których przedostała się cała sprawa, iż Piotr Kon z otwartą przyłbicą nie zawahałby się ujawnić brudu, podobnie tak szczerze i otwarcie broni dziś godności niewinnego człowieka...

***

Pożegnaliśmy sympatycznego i szanowanego mecenasa i powtarzamy w myśl Jego życzeń powyższe słowa...

Sherlok.



Z cyklu: „Łódzkie interesy“.

Wczoraj w godzinach przedwieczornych spotkałem na ulicy Piotrkowskiej starego przyjaciela, pana K.

Pan K. pogwizdywał sobie ostatnią nowość muzyczną z „Cesarskich fijołków“ („O, senor i senoritta“!...) miał drwiącą minę i patrzał na wszystkich zgóry.

— Aaa!... Szacunek!... Jak się masz?

— Dziękuję... W porządku... — odpowiedziałem na chybił - trafił.

— Chodź, wstąpimy na czarną kawkę, pogadamy... — i wziął mnie pod rękę.

Poszliśmy. Przy stoliku wywiązała się następująca rozmowa:

— No, co słychać?... Jak się żyje? — zapytałem, wybierając największe ciastka, które potem okazały się wewnątrz puste.

— Taak... Żyje się... — odparł mój przyjaciel, uśmiechając się drwiąco.

— Jak interesy?...

— Może wiesz o jakiejś przyzwoitej kamienicy?... Chcę sobie kupić dom...

— Skąd masz tyle forsy?

— Nie źle zarabiam ostatnio...

— Manufaktura znowu idzie?

— Nie... Ktoby się teraz zajmował manufakturą!... Mam inne interesy...

— Jakie?...

— Sprzedaję sznurki...

— Co?

— Sznurki...

Przez chwilę patrzę na niego zdziwiony, a on spokojnie zabiera się do czwartego ciastka i drugiej szklanki białej kawy.

— Słuchaj - no, więc co ty sprzedajesz?...

— Sznurki... Zwyczajne sznurki... W Łodzi trzeba mieć tylko trochę spryty rozumiesz?... Słyszałeś pewno, że ostatnio w naszem mieście samobójstwa rosną, jak grzyby po deszczu... Zmartwień nie brak, sposobów przeniesienia się na tamten świat również jest bardzo dużo — ludzie więc popełniają samobójstwa. Zazwyczaj, jak zaobserwowałem, dziewięćdziesiąt procent samobójców składa się z ludzi, którzy nie mają w kieszeni ani grosza. Poprostu nie mogą sobie ku pić przyzwoitej trucizny. Ale przecież umrzeć trzeba!... Więc się wieszają!... Moja praca polega wiec na tem: — przedewszystkiem mam kilka agentów, który szukają na mieście samobójców. Naprzykład — dowiaduję się, że w danym lokalu ktoś się powiesił. Natychmiast autem jadę na miejsce wypadku, rozumiesz?... Przybywam wraz z policją, która zdejmuje trupa, a sznurek, na którym powiesił się denat — odrzuca... Podnoszę go i chowam do kieszeni wraz z zaświadczeniem od policji, że sznurek który posiadam, jest autentycznym sznurkiem wisielca... Mam pewnego rodzaju monopol na tego rodzaju towar, rozumiesz?... Taki sznurek przynosi szczęście, wiesz o tem... A za szczęście trzeba płacić, kapujesz?...

— Kto u ciebie kupuje sznurki, na których wisiał trup?... — pytam blady i drżący.

— Kto?... To mi dobre!... Wszyscy nieszczęśliwi kupują po kawałku... Sto złotych dziesięć centymetrów... Mało jest nieszczęśliwych ludzi w Łodzi?... Kupcy, urzędnicy, bezrobotni...

— Jestem nieszczęśliwszy od ciebie... Nie wpadłbym nigdy na taki pomysł.

— Kup u mnie kawałek sznurka, to będziesz szczęśliwy i wpadniesz na ten sam pomysł — odpowiada spokojnie mój przyjaciel.

Przy pożegnaniu przyjaciel mój dodał:

— No, więc nie wiesz o żadnej kamienicy? Nie wiem gdzie ulokować gotówkę... No, czemu rozdziawiłeś gębę?! Jesteś zdziwiony, co?... No, serwus!... W Łodzi trzeba mieć tylko troszkę spryty, rozumiesz?... Tak, tak...

Bolski.



Bił, uderzył, kopnął, odepchnął...

Szesnastoletni Icek Lubochiński stanął przed sądem dla nieletnich, oskarżony o pobicie właściciela sklepu przy ul. Stary Rynek 1, p. Gerszonowicza.

Uderzenie, jakie otrzymał p. Gerszonowicz było tak silne, że spowodowało siniak i zmusiło p. Gerszonowicza do zawiązania chustką obrzękłej twarzy.

Lubochińskiego pociągnięto do odpowiedzialności sądowej (Lubochiński, lubo nazwisko jego brzmi nieco po chińsku, nie jest chińczykiem).

— Czy oskarżony uderzył Gerszonowicza?

— Odepchnąłem, lecz nie biłem...

— Dlaczego oskarżony odepchnął?

— Bo Gerszonowicz kopnął i bił mo ją matkę i kazał jej złamać ręce i nogi... Nie mogłem patrzeć na to, więc odepchnąłem tylko Gerszonowicza, ale go nie biłem...

Poszkodowany Gerszonowicz zeznaje wręcz przeciwnie:

— Matka Lubochińskiego obrzuciła mnie stekiem wyzwisk, na które wcale nie reagowałem... Wczasie zamykania sklepu oskarżony uderzył mnie silnie w twarz....

Sędzia dla nieletnich skazał Icka Lubochińskiego na zapłacenie 75 złotych kary lub 2 tygodnie aresztu...

I pomyśleć, że do sprawy powyższej zaangażowano aż dwóch obrońców!...

Juris.

Awanturnicza karjera afrykańskiego „Quasimodo".

Mimo tego, że był garbusem należał do „szczurów hotelowych" w wielkim stylu.

Zgubiła go namiętność do ruletki. — Kochanki jego były najpiękniejsze, ale i... najdroższe.

Dosyć powszechnie przypuszczają ludzie, że dotknięcie się garbuska przynosi szczęście. Inna zupełnie sprawa, czy im samym, tj. garbuskom garb jest talizmanem pomyślności w życiu. Kto przeczyta do końca historję Ben Amara Said ben Ariski, ten przyjdzie do przekonania, że szczęście, które garb przynosi swemu właścicielowi, nie jest wieczne.

Natura krzywdząc Ben Amara na punkcie urody, dała mu w nagrodę dużo sprytu i przebiegłości, które to dary ten syn afrykańskiego nieba od wczesnej młodości zużytkował do celów nagannych.

Terenem jego operacji były miasta pobrzeża afrykańskiego, w Marokku, Algierze i Tunisie. Cała litanja drobnych oszustw i kradzieży zwiększała się z dniem każdym. W kołach kolegów zwano go pospolicie „Quasimodo", od tego dzwonnika z powieści Wiktora Hugo, p. t. „Notre Dame de Paris", a któremu nie ustępował w brzydocie.

Przez kilka lat garbuskowi się szczęściło i pomimo swego garbu wyślizgiwał się zręcznie z nastawionych nań sieci policyjnych.

W zeszłym roku jednak talizman na plecach przestał przynosić szczęście i Quasimodo został skazany na 5 lat więzienia, które zaczął odsiadywać w centralnem więzieniu w Berouachia w Algierze.

W dzień Wszystkich Świętych wszyscy dozorcy więzienni i więźniowie udali się do kościoła. Quasimodo, jako muzułmanin, pozostał w celi i pomimo swego garbu zdołał przecisnąć się przez okienko, umieszczone nad drzwiami.

Pierwszym jego czynem była wizyta w biurze dyrektora więzienia, zakończona rozbiciem kasy i zabraniem kilku tysięcy franków. W biurze głównego dozorcy Quasimodo zebrał klucze i najspokojniej wyszedł z gmachu więzienia, otwierając sobie po drodze wszystkie drzwi.

Ucieczka ta dowodzi z jednej strony niewątpliwie wielką odwagę Ben Amara, z drugiej zaś sielskich stosunków, panujących w owem więzieniu, gdzie cały personel wychodzi do kościoła, zostawiając wszystko na opatrzności boskiej. Może też dla ukarania dozorców Allah ułatwił swemu wyznawcy ucieczkę.

Pierwszym aktem Ben Amara, kiedy się znalazł w Paryżu, było wysłanie pocztówek dyrektorowi więzienia, dozorcom, oraz tym agentom policyjnym, którzy otrzymali polecenie ścigania go. Quasimodo donosił, że jest w dobrem zdrowiu, i przepraszał za trudy i nieprzyjemności, które ta ucieczka dla nich spowodowała.

Przez cztery miesiące blisko Quasimodo grasował w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku, jako „szczur hotelowy". Kilka innych mniejszych miast również otrzymało jego wizytę. W ciągu tego czasu przebiegły arab był kilkanaście razy skazany zaocznie na różne kary. Policja amerykańska, angielska i francuska tropiła go bezustanku, atoli Quasimodo wyślizgiwał się zawsze i wymykał. Widocznie garb znowu zaczął mu przynosić szczęście.

W tych podróżach nieustannych między Paryżem, Londynem i Nowym Jorkiem zyskał w świecie złodziejskim nowy przydomek „Żeglarza". Powodziło mu się świetnie... Kradzieże po hotelach gra w kasynach i tajnych jaskiniach przynosiły mu olbrzymie dochody, które jednak topniały szybko. Quasimodo jest bardzo kochliwy z usposobienia i za miłość musiał płacić drogo, i choć sam jest potworny, dobierał sobie najpiękniejsze, ale i najdroższe kochanki. Imiona ich wszystkich utrwalały się nie tyle jednak w pamięci araba, ile na jego skórze wytatuowane na niebiesko. Jest ich tak dużo, że już niema miejsca na inne.

Najrozkoszniejsze chwile spędził garbusek z niejaką „Marją Korsykanką", gdyż obok jej imienia na prawym ramieniu kazał sobie wytatuować serce przeszyte strzałą.

Przed kilku dniami dwóch agentów policyjnych, mających nadzór specjalnie nad cudzoziemcami z Algieru, Marokka i Tunisu w Paryżu, zauważyło ze zdziwieniem Quasimodo na bulwarze de la Chapelle.

W pięć minut później taksi powiozło garbuska na prefekturę policji.

Tak po raz drugi garb odmówił szczęścia. Ponieważ jednak Quasimodo — Żeglarz ma dopiero 28 lat, jest nadzieja, że czeka go jeszcze sporo przygód w życiu.



Książe Walji, następca tronu angielskiego udaje się na posiedzenie rady koronnej.

Amerykanki zawcześnie wychodzą za mąż.

Oto jest przyczyna „plagi rozwodów" w St. Zjedn.

Pisma nowojorskie zajmują się ostatnio obszernie niepokojącym amerykańskie społeczeństwo problemem zbyt wczesnego wstępowania w związki małżeńskie tamtejszych panien, które bardzo często wychodzą za mąż przed ukończeniem 16 roku życia.

Jak podnosi jeden z poważnych dzienników i na podstawie sprawozdań fundacji Russel'a Sage, instytucji zajmującej się badaniami nad ruchem ludności w Stanach Zjednoczonych, więcej niż dwie trzecie miljona panien, a także i młodzieńców zawiera związki małżeńskie w zbyt młodym wieku.

Większość tych młodych żonkosiów pochodzi z rodów amerykańskich, a dzieje się to wskutek niedomogów w tym względzie ustawodawstwa. W wielu bowiem stanach nie wymagają od zgłaszających się u władz kandydatów do stanu małżeńskiego innego świadectwa wieku, jak oświadczenia jednego z mających wstąpić w związki małżeńskie, że obie osoby są już w wieku pozwalającym na małżeństwo, że w stanach takich jak New York, New Jersey, Pennsylvania, Kentucky, Louisiana, Virginia, Florida, Maryland, Rhode Island, Teunessee, Colorado, Idaho, Maine i Mississippi legalnym minimalnym wiekiem, upoważniającym na związki małżeńskie jest dla dziewcząt lat 12, a dla chłopców la 14.

Oczywiście, że tak młode małżeństwa wcześnie przechodzą w fazę zobojętnienia wobec siebie, co znów w dalszych konsekwencjach wywołuje „plagę rozwodów", tak trapiącą tamtejszą poważną publicystykę i sfery rządzące.

JERZY RZĘCKI. 73



Kryminalny romans kinematograficzny.

Mańka zgodziła się chętnie na zaproszenie amerykanina, poprosiła tylko o chwilkę czasu, aby się nieco poprawić i zapowiedziała swoje przyjście za niespeł na kwadrans.

Przez ten czas wszakże bynajmniej się nie zajmowała toaletą, a wydała szereg instrukcji Antkowi i Frankowi.

Polecenie jej zostało wykonane bez zarzutu. Nie upłynęło pół godziny jej pobytu w pokoju amerykanina, gdy nagle do pokoju zapukano. Zaledwie amerykanin zdążył rzec „Avantid" do pokoju wtargnęło czterech zamaskowanych mężczyzn. Nietrudno się domyślić, że byli to czterej towarzysze Mańki. Jeden z nich, a był to Borecki, zawołał po angielsku:

— Hands up!... Ręce do góry!.., Proszę milczeć i nie ruszać się z miejsca!...

Jednocześnie Dybowski stanął na straży przy telefonie i dzwonku, na wszelki wypadek przecinając drut telefoniczny i dzwonkowy. Antek z Frankiem zabrali się odrazu do roboty, otwierając wytrychami szafy, szuflady i walizki. Przez ten czas Borecki z Dybowskim, trzymając każdy w jednym ręku rewolwer, teroryzowali obecne w pokoju cztery napadnięte osoby. W ten sposób Antek z Frankiem dobrali się do szkatułki z kosztownościami i opróżnili ją błyskawicznie. Wkrótce już wszystkie cenne rzeczy, znalezione w szafach i skrytkach, utonęły w kieszeniach napastników. Nie zadowolili się oni wszak że tem, co już zdobyli i poddali jeszcze osobistej rewizji wszystkie cztery obecne w pokoju osoby. Przy rewizji tej amerykanin postradał swój portfel, złotą papierośnicę, platynowy zegarek i kilka pierścionków z olbrzymimi brylantami. Towarzyszka jego zaś, dużą kolję pereł, kolczyki, pierścionki i małą bransoletkę zegarkową, wysadzaną drobnymi brylancikami. Bandyci umyślnie ograbili i Mańkę z Jankiem, aby nie można było twierdzić, że mają oni coś wspólnego z napastnikami.

W ciągu godziny wszystko było załatwione. Złoczyńcy oddalili się równie szybko, jak przyszli. Oprócz tego, który stanął znów na warcie przy drzwiach i czekał tam jeszcze 10 minut; dopiero później nieco, gdy towarzysze jego zdążyli dojść już do swoich pokojów, opuścił on pokój amerykanina.

Oczywiście, że natychmiast wszczęto alarm i bardzo energiczne poszukiwania. Nie mogły one przecież dać wyników pożądanych. Dochodzenie w zadnym wypadku nie mogło się zwrócić przeciwko Mańce ani żadnemu z jej towarzyszy, bo i ona była (pozornie) poszkodowana. Aby uniknąć badań daktyloskopijnych i psa policyjnego, którego specjalnie sprowadzono, nasi podróżni postanowili Wenecję czemprędzej opuścić. Amerykanin z towarzyszką zamierzali postąpić tak samo i chcieli nawet przyłączyć się w dalszej podróży do swej rzekomej towarzyszki niedoli. Mańka jednak zręcznie uchyliła się od tego towarzystwa, które w tej chwili było już dla niej zbyteczne, przeciwnie mogło stać się niebezpieczne, ponieważ amerykanin mógł dostrzec przypadkowo, w trakcie podróży którąś ze swych rzeczy u Mańki lub jej towarzyszy. Nęciła ją tylko myśl zrobienia jakiegoś kawału to warzysze amerykanina, która nieco zbyt jaskrawie przymilała się do Janka. Ale nie warto było ryzykować, postanowiła więc na ten raz zamiaru zemsty nie wprowadzać w czyn.

Tego samego wieczoru nasi podróżni opuszczali Wenecję, udając się dalej ku Medjolanowi. Przybyli tam nazajutrz i zabawili zaledwie jeden dzień, nie obejrzawszy nic, oprócz katedry. Resztę dnia zajęło im robienie inwentarza zrabowanych klejnotów i dzielenie zysków. Również jeden dzień tylko bawiono w Genui, gdzie oglądano tylko przecudny cmentarz tamtejszy. Spieszono się, aby zdążyć do Nicei na karnawał.

D. c. n.

Eleonora Nissen-Deiters.

Ostatnia miłość

Tłumaczył B. F. Ilustrował St. Dobrzyński

O przeszłości pani Celi nikt z jej znajomych nie wiedział nic pewnego. Wiedziano tylko, że do zamążpójścia pani Cela zajmowała się troszkę filantropją, jako członkini licznych towarzystw dobroczynnych, czy ktoś jednak z tej filantropji korzystał — pozostawało tajemnicą.

Bardzo często widziano bowiem panną Celę w podejrzanych lokalach w bardziej jeszcze podejrzanym towarzystwie starszych panów, o których krążyły na mieście pogłoski, że są to poszukiwacze przygód erotycznych i międzynarodowi aferzyści.

Czy pogłoski powyższe odpowiadały prawdzie — nikt nie wiedział, nawet wszechwiedząca prasa, która czerpała zwykle temat do sensacji z awantur miłosnych panny Celi i jej adoratorów.

Panna Cela miała zresztą wszystkie warunki potrzebne do intrygowania płci brzydkiej.

Była bardzo ładna, zgrabna, modna pod względem tuszy, inteligentna, mądra, ubierała się elegancko i posiadała nieokreślony czar, specyficznie kobiecy którym operowała nader umiejętnie, czemu zresztą nie można się wcale dziwić, zważywszy, że już od lat najmłodszych nabywała praktykę w tym kierunku.

Po jednej z wizyt w gabinecie restauracyjnym panna Cela doszła do niezbyt przyjemnego jak dla panny, wniosku, że już nie jest, niestety, „panną", a co najstraszniejsze — że jeszcze nie jest „panią".

Krótko mówiąc — nowa sensacja, wypadek, zdarzający się w najporządniejszych rodzinach w przełomowych chwilach powojennych.

Rzecz prosta — innej rady nie było— panna (a raczej pani) Cela musiała na gwałt (a raczej wskutek gwałtu) wyjść za mąż.

Rodzice wyszukali więc „ad hoc" kandydata na małżonka — spasionego fabrykanta szpilek do włosów — i w tydzień po tragicznym wypadku (a raczej upadku) w gabinecie restauracyjnym pani Cela stanęła na ślubnym kobiercu.

Mąż wiedział prawdopodobnie o mrocznej przeszłości swej żony (przypuszczalnie jednak tylko do pewnych granic) ponieważ zaś nie był również czysty jak anioł — machnął na wszystko pulchniutką rączką i wziął ślub.

Pani Cela nie bardzo przejmowała się nowemi obowiązkami żony, gdyż nadal prowadziła życie mniej niż nieskromne, flirtując ze wszystkimi (mam na my-



śli tylko mężczyzn) bez wyboru.

Zdarzył się jednak w jej życiu wypadek, który, jak barjera, powinien był zagrodzić jej dalszą drogę, po której kroczyła lekko, jak tancerka.

Było to tak:

W pewnem towarzystwie pani Cela poznała bardzo sympatycznego dyrygenta opery prowincjonalnego miasta.

Dyrygient przez cały wieczór flirtował z piękną panią Celą, która nie tylko pozwalała na niewinny flirt, lecz dała mu swem zachowaniem dyskretnie do zrozumienia, że może liczyć na coś więcej z jej strony.

Dyrygient — poważny człowiek, mający żonę i dzieci z jednego pocałunku, złożonego na gorących wargach pani Celi wyciągnął bardzo daleko idące wnioski, uważając, że zyskał już prawo kochanka.

Gdy pani Cela roześmiała się na głos z tego powodu, dyrygient wycedził coś przez zęby i opuścił towarzystwo.

Tej samej nocy zastrzelił się...

Pani Cela, dowiedziawszy, się o tem ogromnie się zdziwiła:

— Czy ludzie z byle jakiego powodu popełniają samobójstwa?

Nazajutrz pani Cela bała się samaspać w sypialni (szanowny małżonek spędzał noc poza domem) i poprosiła służącą, by spała przy niej.

Pani Cela, jak każda zresztą kobieta, była bardzo ciekawa.

Paliła ją jedna myśl:

— Jak wygląda trup człowieka, który się przez nią zastrzelił?...



W dzień pogrzebu, osłonięta gęstą woalką pojechała do mieszkania dyrygienta.

Dzięki łapówce, wręczonej ostrożnie lokajowi, udało jej się niespostrzeżenie prześlizgnąć się do pokoju, gdzie leżał trup. Twarz miał przykrytą czarnem suknem.

Wahała się... Ale powiedziano jej, że twarz nieboszczyka jest zupełnie niezmieniona, kula wyświdrowała tylko malenki otworek w prawej skroni.

Gdy pani Cela miała zamiar podnieść sukno, wybiegła z drugiego pokoju brzydka, chuda kobieta i zagradzając jej drogę do trumny, krzyknęła: — Precz!!

Scena była bardzo efektowna.

Zupełnie tak samo, jak, dajmy na to, w kinie na porządnym obrazie amerykańskiej wytwórni.

Od owego dnia rozpoczęło się nowe życie dla pani Celi.

Nie znaczy to jednak, że pani Cela zmieniła tryb życia — bynajmniej! — inaczej tylko zapatrywała się na życie, przez lufę rewolweru — że tak powiem, — bardziej obojętnie i sceptycznie.

Rozpoczął się nowy romans z malarzem. Cygańskie życie, z knajpy do knajpy, artystyczny nieład w ubraniu — potem nuda, bezwład i szukanie nowych emocji.

Miejsce malarza zajął młody porucznik, zapalony sportowiec i amator rasowych koni.

Po poruczniku przyszedł jakiś poeta, z którym rozprawiała o sztuce i literaturze w swym zacisznym buduarze z papierosem w ustach.

Poeta okazał się najmądrzejszym, gdyż po dwóch dniach znajomości wysłał do niej pożegnalny list, motywując zerwanie nagłym wyjazdem zagranicę.

Pani Cela nie przejmowała się jednak takiemi błahostkami — wiedziała, że znajdzie się ktoś, który zastąpi poetę.

I przyszła ostatnia miłość...

To był włoch. Rasowy dżentelmen, dystyngowany mężczyzna o przybladłej nieco twarzy, bujnych, kruczych włosach i czarnych oczach.

Zdobyć serce tego człowieka nie było czynnością zbyt łatwą, ale finezja wzroku pani Celi zrobiła swoje.

Na opisanie pierwszego pocałunku należałoby poświęcić conajmniej dwa rozdziały; czego z przyczyn technicznych mimo żalu czytelników, uskutecznić nie mogę.

Powiem tylko tyle, że oboje byli rozgorączkowani, mieli badzo nerwowe ruchy i on, trzymając w uścisku jej ręce, szeptał:

— Addio! Addio!!...

I nagle obrócił się, aby odejść na zawsze. Zlękła się...

— Lucjanie!

Wtedy dopiero rzucili się wzajemnie w objęcia (może niezbyt technicznie się wyrażam!) i nastąpiło to, co zwykle w takich wypadkach następuje.



Ostatecznie pani Cela zwyciężyła

Aż razu pewnego...

Siedzieli nad brzegiem rzeki.

Lucjan począł strasznie kaślać.

Zachłysnął się od kaszlu.

Trząsł się, podrygiwał cały aż upadł na ławkę.

— No, cóż,... Wrócimy do domu — rzekła pani Cela takim tonem, jakgdyby mówiła: Boże mój, tak ja się nudzę!

Tymczasem włoch wydostał z kieszeni chusteczkę i przyłożył ją do ust. Gdy odjął chusteczkę — pani Cela zauważyła na niej krew! To ją otrzeźwiło „Boże mój — pomyślała — on jest przecież chory!" i odsunęła się od niego możliwie najdalej. Nie mógł jej dogonić. Nie chciała chodzić z nim razem.

Tegoż wieczoru pani Cela zaczęła po raz pierwszy kaslać.

Pozatem kaszel powtarzał się coraz częściej.

Lekarz stwierdził chorobę płucną.

Kazał natychmiast wyjechać na południe.

Pani Cela, dowiedziawszy się o tem padła na poduszki i zaniosła się od kaszlu — jak włoch wtedy, na ławce...

W ustach poczuła coś ciepłego — krew...

— — — — — — — — —

We Włoszech pierwszym spotkanym człowiekiem — był Lucjan.

Był blady i strasznie kasłał.

Gdy go ujrzała — ogarnęła ją dzika złość, dziki, bezsilny szał.

Oto człowiek, który ją zaraził straszliwą chorobą!

— Ty.... tyś wiedział o tem — krzyknęła — tyś dobrze o tem wiedział, że jesteś chory!...

Przypomniał mu się ten wieczór nad brzegiem rzeki.

— Tak... naturalnie — odrzekł ze złośliwym uśmiechem na twarzy — kto ma suchoty, musi o tem wiedzieć...

Pani Cela zakipiała złością:

— Podłość! — syknęła.

A on odrzekł obojętnie:

— Nie miałem już wówczas jednego płuca... Wyplułem... zresztą, nie wiele już zostało z drugiego... Tej zimy pewno umrę.

Miał rację — umarł na początku zimy... —

Tym razem pani Cela nie poszła oglądać trupa....

Człowiek chory nie lubi widoku nieboszczyków.

Pani Cela pluje krwią...

Jedno płuco już wyplute...

koniec.

SPORT

Rozgrywki o mistrzostwo footbalowe Polski.

:o:

Ł. K. S.—Wisła 2:1 (1:0).

:o:

Po zwycięstwie wczorajszym mistrz Łodzi stał się jednym z najpoważniejszych kandydatów na mistrza Polski

Aczkolwiek mikroskopijne, lecz niemniej zasłużone zwycięstwo nasze go mistrza nad drużyną, którą poprzedziła dość głośna fama niezwyciężonej. Wysokocyfrowe zwycięstwa, jakie odnosiła Wisła nad równorzędnymi prze ciwnikami, uprawniały nas do podtrzymywania tej reklamy, wobec czego spo dziewaliśmy się u gości zobaczyć grę, stojącą na wysokim poziomie.

Lecz jaki spotkał nas zawód. Wisła niedorównywała pod żadnym względem grze ŁKS. a wyzyskując swą przewagę fizyczną i przyzwyczajenie do „krakowskich targów" gracze Wisły foulając sami znacznie więcej od przeciwnika, starali się natem coś utargować, zanosząc ustawiczne skargi do sędziego.

Jeżeli już wypadłoby kogoś z drużyny gości wyróżnić, to w pierwszej linji Kiliński w bramce stał na wysokości zadania, wreszcie po części obrona i pomoc, natomiast ta ustawiczna trójka napadu, grała zaledwie przeciętnie i nie po trafiła w ciągu całej gry, ani jednej celo wej akcji przeprowadzić. Całą zasadą gry Wisły jest forsowanie skrzydeł, czyni to zarówno środek pomocy, jak i resz ta napadu. Utrzymanie tego systemu gry w szachu nie jest zbyt trudnem, co się też tyłom naszego mistrza w zupełności udawało. Fakt ten godzien jest podkreślenia, zwłaszcza w pierwszej połowie, kiedy to goście grając z wiatrem i pędzącym ich z tyłu śniegiem, który ciął i zasypywał oczy graczom ŁKS., a mimo to bramka gospodarzy nie znalazła się ani jeden raz w niebezpieczeństwie.

Dopiero na 20 minut przed końcem gry, podczas najsilniejszej zawieruchy, Wisła grając ustawicznie prawem skrzydłem, którego licznych pozycji spalonych mało ruchliwy i niezbyt orjentujący się sędzia nie wyłapywał, piłka znalazła się częściej pod bramką gospodarzy i wtedy to udało się Wiśle honorowy punkt uzyskać.

U gospodarzy cała drużyna chodziła jak na sznurku, pomoc pracowała i ofiarnie i celowo, a obrona likwidowała wszelkie zakusy przeciwnika przed polem karnem. Fiszer w bramce otrzymał zaledwie trzy niebezpieczne piłki, z któremi się załatwił bez zarzutu. Pewne obawy mieliśmy co do Trzmiela, że mło- dy ten gracz, mając przeciwko sobie tak silny zespół nie sprosta zadaniu. Okazało się jednak, że nasze obawy były zupełnie płonne; Trzmiel był nietylko dobrym pomocnikiem, lecz i wspaniałym burzycielem akcji przeciwnika, i je go to właśnie jest zasługą, że n.p. wielokrotny internacjonał, Reyman nie oddał ani jednego strzału na bramkę. Resz ta drużyny, a przedewszystkiem napad prócz Millera, którego szybkość pozosta wia wiele do życzenia, grała dobrze, kombinując celowo, a co najważniejsza nie zaniedbywała strzelania na bramkę, wskutek czego Kiliński ani na chwilę nie mógł się zaliczyć do bezrobotnych.

Grę zaczyna Ł.K.S. i już w pierwszych minutach zagraża poważnie bramce gości, niestety Ałaszewski nie miał szczęśliwego dnia; jego liczne i z pewnych, pozycji oddane strzały szły za wysoko. Jednakże już pierwsze pociągnięcia ŁKS. nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, która z drużyn zwycięży.

Lepsza technika, i taktyka drużyny naszego mistrza oraz obfitość i celność strzałów, już po kilku niejako próbnych natarciach dawały rękojmię, zwycięzcy ŁKS., zachodziło tylko pytanie z jakim stosunkiem bramek.

To też ŁKS. zwyciężył i zupełnie zasłużenie decydująco, a końcowy rezultat dalekim jest od tego, ażeby mógł być miernikiem sił nazwany, gdyż gra ŁKS. była conajmniej o pół klasy lepszą od gry Wisły. Nie można jednak pominąć milczeniem jednego bardzo poważne go faktu a mianowicie, że tyły ŁKS. nie wytrzymały narzuconego przez siebie tempa, wskutek czego ostatnie 20 minut kiedy to przedewszystkiem skrzydła go ści, prawie że samopas chodziły, mogły drużynę owoców tak wyśmienitej pracy pozbawić.

Bramki strzelili: dla ŁKS. Lange, dla Wisły, Adamski.

Publiczności około 1000 osób, która z prawdziwie heroiczną cierpliwością, na słocie i błocie, drżąc ze zimna, zagrze wana jedynie chwilami piękną grą swego ulubieńca do samego końca wytrwała.

Sędzia, p. kpt. Razan nieszczególny.

Fr. Romanek.

Ł. T. S. G. — Siła 3:0.

Wczoraj południową porą, powyższe drużyny rozegrały mecz towarzyski, na boisku, przy ul. Wodnej.

Ł.T.S.G. wystąpiło z świeżemi siłami a jego gra była chwilami, aczkolwiek nie doskonałą, to jednak należała ona dzięki szybkiemu tempu i ambitnej pracy po szczególnych jednostek, do t. zw. bojowych, a zatem i do interesujących.

Drużyna Siły wykazała na tych zawodach mało ambicji, a jeszcze mniej umiejętności, co poniekąd należy przypisać, złemu stanowi boiska, zimnu i wprost niemożliwej niepogodzie.

Publiczności mało, sędzia, p. Andrzejak.

Romanek

Szturm — Samson 3:2 (1:1).

Spotkanie powyższych drużyn zakończyło się słabym zwycięstwem Szturmu, którego gra polegała jedynie na kopaniu przeciwnika.

Przebieg gry początkowo zajmujący; stroną atakującą była drużyna Samsonu.

Pierwszą bramkę zyskuje Samson przez lewego łącznika z celowej kombinacji w pierwszych minutach. Szturm wy równuje z rzutu karnego.

Odtąd gra na środku do przerwy.

Po pauzie tempo gry znacznie się zaostrza; obie drużyny dążą do uzyskania zwycięskiego goala.

Dalsze bramki zyskuje środek ataku dla Samsona oraz łącznicy dla drugiej strony.

Końcowe minuty nie ciekawe. Szturm bezustannie fauluje, będąc słabszym technicznie, nadużywa siły.

Sędziował p. Biro.

Walki francuskie w cyrku.

:o:

Wildman pokonał „Czarną Maskę"

Zapaśnik pod maską zdemaskował się. Jest to warszawianin Maurycy Ekler.

:o:

Petrowicz zwyciężył Weinurę w 14 minut.

:o:

Dziś walka rozstrzygająca: Pinecki— Wildman.

Zaraz po defiladzie, oświadczył pro fesor Arnold w imieniu Pineckiego, że ten ofiaruje 1000 złotych każdemu, kto pozwoli sobie założyć podwójnego nelsona i nie omdleje.

Amatorów na to nie było, ale może się znajdzie jeszcze ktoś, żądny „łatwego" zarobku.

Ogólne zainteresowanie wzbudził de bjut nieznajomego zapaśnika, który wy stąpił do walki z Wildmanem, ukryty pod maską.

Czarna Maska prezentuje się nienajgorzej, jest bardzo silny, posiada nieco techniki i zwinności.

Nagół zaliczyć go można do b. prze ciętnych zapaśników.

Wildman walczył wprost heroicznie chcąc za wszelką cenę zdobyć zwycięstwo.

Pierwsze kilka minut przechodzi na próbowaniu sił i zakładaniu krawatów.

Wreszcie po pięciu, sześciu minutach przystępuje Wildman do ataku.

Wprawdzie od czasu do czasu przy chodzi „do głosu" Czarna Maska, lecz nagół przewagę miał Wildman.

Zaraz po przerwie uwidacznia się zmęczenie nieznajomego, który cofnąwszy się zupełnie do defenzywy z trudem broni się przed gwałtownymi atakami Wildmana.

W czternastej minucie chwyta Wild man Czarną Maskę w przedni pas i mo mentalnie kładzie na obie łopatki.

W drugiej parze walczył Pinecki z mistrzem Tyrolu Puechlerem.

Atakowi Pineckiego przeciwstawił Puechler bardzo dobrą obronę, osiągając nawet nad olbrzymem chwilowa przewagę.

Były podczas walki momenty groźne dla Pineckiego, lecz ten w ostatniej chwili uwalniał się dzięki swej kolosalnej sile.

Pomimo obustronnych wysiłków wal ka zakończyła się wynikiem remisowym.

Spotkanie trzeciej pary było najkrótsze, gdyż trwało zaledwie 3 minuty.

Zawisza bronił się bardzo słabo i uległ Noestremowi, który go położył przednim pasem.

Decydująca walka między Petrowiczem a Weinurą skończyła się porażką tego ostatniego.

Mandżur bronił się brawurowo, lecz uległ w 14 minucie, chwytem tour de tete.

— — — — — — —

Dziś walczą: Czarna Maska (Maurycy Ekler) — Petrowicz; Weinura — Sugakof; Zawisza — Sobieski i Wildman — Pinecki.

Spotkanie ostatniej pary jest decydujące.

W.

Konfiskata dziennika za recenzję footbalową.

Stało się to we Włoszech po meczu Francja—Włochy

Parlament włoski na posiedzeniu w dn. 24 b. m. uchwalił jednogłośnie wyrazić podziękowanie graczom reprezentacyjnej drużynie piłkarskiej Włoch, która dnia 23 b. m. pokonała w Turynie reprezentacje Francji w rekordowym stosunku 7 : 0.

Równocześnie wyrażono uznanie pre fektowi Turynu za konfiskatę jednego z dzienników tamtejszych, który w gwałtowny i nietaktowny sposób zaatakował ze spół francuski.

Wiadomość ta w najlepszy sposób charakteryzuje zrozumienie i popularność sportu na półwyspie apenińskim. Wystarczy do niej dodać entuzjazm Mussoliniego dla championa boksu, Spalli, i namiętność alpinizmu papieża, aby zrozumieć, w jak pomyślnej i godnej zazdrości atmo sferze rozwija się kultura fizyczna potomków dawnych rzymian.

Ł. K. S. II. — Żandarmerja 3:0.

Zawody odbyły się jako przedmecz. Sędziował, p. Śmiałkowski dobrze.



Reymond, słynny bramkarz szwajcarski w grze footbalowej.

Zamordowany i morderca w opinji kobiety.

List żony zabójcy Kuruszwilego do prasy.

Warszawski korespondent donosi:

Dzisiejsza prasa poranna zamieszcza list pani Sas-Wóycickiej, (ż męża Le Brun), który podajemy jako charakterystyczny dokument bez żadnych komentarzy.

„Proszę najuprzejmiej o łaskawe zamieszczenie następujących informacji, które rozproszą mroki w sprawie zabójstwa poety Kuruliszwilego.

Jestem, niestety, byłą żoną zabójcy, o którym — poślubiając go — nie wiedziałam, kim jest.

Każde wspomnienie o tym człowieku jest dla mnie bolesne. Mimo to w imię prawdy muszę ponieść tę ofiarę i — nazwać rzeczy po imieniu.

Były mój mąż wyzyskiwał mnie niepomiernie.

Eksploatował mój talent, sam prawie nic nie pracując. Zmuszał mnie do zarobkowania, udając stale rozkochanego we mnie.

Gdy się spostrzegłam po niewczasie zacząłem baczniej przyglądać się jego postępkom. I wtedy z przerażeniem uświadomiłam sobie, że rad byłby, gdybym miała „przyjaciół", ale nigdy nie mógłby strawić drugiego mojego męża.

Ze wstrętem znosiłam to jarzmo, myśląc nad sposobami ratunku. Długo walczyłam napróżno. Aż nadszedł moment przełomowy. Poznałam nieskazitelnego i najszlachetniejszego z ludzi ś.p. Sergjusza Kuruliszwilego. To poznanie wpłynęło na ostateczną moją decyzję rozwodową.

P. Le Brun po trzech tygodniach mojej znajomości z Kuruliszwilim najchętniej zgodził się na rozwód. O jakiejś „zdradzie" (podstępnem działaniu) z naszej strony nie może być mowy.

Kuruliszwili odrazu rzecz całą jasno postawił. Przy mnie oświadczył p. Le Brunowi: „czy rozwody będą trwały rok czy też lat dziesięć — muszę je przeprowadzić i panu to stanowczo, w oczy, zapowiadam".

Nie przypuszczaliśmy, że z obu stron (t.j. ze strony p. Le Bruna i żony Kuruliszwilego) piętrzyć się będą przeszkody. Bo i p. Kuruliszwilowa była w porę zawiadomiona o krokach stanowczych, zamierzonych przez jej męża. Mimo to później kategorycznie sprzeciwiała się rozwodowi.

Po ujawnieniu tego faktu, ś. p. Kuruliszwili opuścił swe mieszkanie i przeniósł się do małego hoteliku.

P. Le Brun niepotrzebnie udaje szlachetnego. Wiedział on doskonale, będąc głównym powodem zwłoki, że proces rozwodowy pociągnie się czas dłuższy. Dlaczego rzuca cień na pamięć człowieka czystego jak kryształ, płomiennego patrjoty, umiejącego poświęcić się i zginąć dla idei? Czyż nie było prościej i uczciwiej wejść w kompromis z własnem, giętkiem — jak się okazało — sumieniem niż stwarzać sobie cierpienie dla cierpienia?

Na te pytania p. Le Brun nie odpowie. Wyręczają go w tej mierze jego postępki.

Straszną potworną bywa złośliwość losu!

Właśnie teraz, gdy zaledwie cztery dni oddzielały nas od chwili pomyślnego zakończenia spraw osobistych i majątkowych, w przededniu obudzenia do życia zamarłego a tak ukochanego przez poetę „Głosu Wschodu" — w momencie zwrotnym ku lepszej jaśniejszej przyszłości, ślepa kula człowieka marnego, bez zasad, bez etyki, dosięga tego, który tu, w Polsce, ogniem swego serca rozpalił patrjotów, który w pełnych bólu i natchnienia słowach malował krwią swą dolę swej ojczyzny!

Kochał on Gruzję, choć ona go nie doceniła. Za blisko był. Nie umieli ogarnąć ani zrozumieć tej cudnej duszy, nie mogli znieść jego wyższości więc obrzucili go błotem. Czyż tak musi być, że lilję zawsze zagłusza chwast

Jedyną winą jego była miłość, zbyt wielka, zbyt wzniosła i piękna aby trwać mogła na ziemi.

Dlatego kalanie jego pamięci jest zbrodnią.

Więc oświadczam oszczercom:

Ja pozostałam przy życiu, na mnie rzucajcie kamieniami.

Ale wara od jego świetlanej pamięci!

Halina Sas Wóycicka".

Wiedeńczycy będą otrzymywali sześć razy dziennie pocztę do domu.

Każdy mieszkaniec będzie miał własną skrzynkę pocztową.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

Wiedeń, 29 marca.

Zarząd pocztowy w Wiedniu postanowił zmienić obecny system dostarczania listów adresatom do mieszkania.

W najkrótszym czasie w każdym domu umieszczone zostaną imienne skrzynki pocztowe, do których listonosz będzie wrzucał korespondencję przeznaczoną dla danego adresata.

Dyrekcja pocztowa sądzi, że taka zmiana w dostarczaniu korespondencji znacznie odciąży pocztę, która będzie w stanie do 6 razy dziennie dostarczać adresatom korespondencji.

Oryginalna demonstracja w Paryżu.

Inwalidzi - suchotnicy protestują przeciwko zmniejszeniu im zapomóg.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

Paryż, 29 marca.

Paryż był wczoraj widownią oryginalnej demonstracji.

Na ostatniem posiedzeniu senatu przyjęty został wniosek o zmniejszeniu zapomóg dla chorych inwalidów-suchotników. Wszyscy inwalidzi-suchotnicy postanowili wobec tego zaprotestować przeciw tej uchwale senatu i wczoraj specjalnie udali się przed gmach senatu, gdzie wznosili okrzyki przeciw tej uchwale, kótrą uważają za zamach na swe zdrowie.

Amerykanka zabiła swą matkę, która nie pozwoliła jej brać udziału w wieczorze tanecznym.

Obrońcy morderczyni twierdzą, iż jest ona chora na „manję taneczną".

Nowy Jork, 29 marca.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

W Los Angelos rozpoczął się przed kilku dniami sensacyjny proces przeciw szesnastoletniej Dorocie Ellingson, która kilka miesięcy temu wystrzałem z rewolweru zabiła własną matkę, za to, że nie pozwoliła jej brać udziału w pewnym wieczorze tanecznym.

Obrońcy oskarżanej, oświadczyli, iż Ellingson nie może być ukarana, gdyż cierpi na ostatnio bardzo rozpowszechnioną chorobę psychiczną t. zw. „manję taneczną".

Dorota Ellingson zatem zdaniem obrońców — popełniła czyn karygodny nie z własnej woli, lecz przez działanie siły wyższej. Prokurator domagał się kary śmierci i zbijał wywody obrońców.

Oskarżona Ellingson przyznała się w zupełności do winy, lecz zażądała usunięcia ze składu sędziów wszystkich kobiet, gdyż — wedle jej opinji — nie mogą one dostatecznie rozumieć tła powyższej sprawy. T. N.

Kutiskier zwarjował

i został oddany pod nadzór lekarzy psychjatrów.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

Berlin, 29 marca.

W dniu dzisiejszym miał złożyć przysięgę Kutiszkier o swym stanie majątkowym. Obrońca oskarżonego oświadczył, jednak, iż klijent jego nie może przysięgać, gdyż jest obecnie chory nerwowo.

Jak stwierdzają powszechnie Kutiskier zwarjował i został oddany pod nadzór lekarzy psychjatrów.

Gabrjel d'Annunzio żyje w nędzy.

Tak twierdzi pismo włoskie „Epoka".

Rzym, 29 marca.

Specjalna służba telegraficzna „Expressu".

W ostatnim czasie czyniono znanemu poecie Gebrjelowi d'Annuzio zarzuty, iż pragnie zakupić jedną z najwspanialszych wil nad morzem oraz że żyje w ogromnym zbytku.

„Epoca" ogłasza obecnie list d'Annuzia, który stwierdza, iż wszystkie pogłoski o jego bogactwie są nieprawdziwe, przeciwnie żyje on w wielkiej nędzy.



Warszawa, dn. 30 marca.

I-SZA PRZEDGIEŁDA WARSZ.
New York 5,17
Londyn 24,78
Paryż 27,35

II-GA PRZEDGIEŁDA WARSZ.
Dolary 5,19

Prenumerata: W Łodzi zł. 3.50 miesięcznie—Zamiejscowa 5 złotych miesięcznie. — Zagranicą 7 złotych miesięcznie. — Odnoszenie do domu 30 groszy

„Express Wieczorny" i „Republika" łącznie zł. 7.50.

Ogłoszenia: ZWYCZAJNE: 8 gr. za wiersz milimetrowy (na stronie 10 szpalt.) W TEKŚCIE 40 gr. za wiersz milimetrowy (na str 4 szpalty). NEKROLOGI I NADESŁANE: 30 gr. za wiersz milimetrowy e (na str. 4 szpalty) Zaręczynowe i zaślub. po tekście 10 zł. Zamiejscowe o 50 proc. Zagran. o 100 proc. droż. Za terminowe druk ogłoszeń administr. nie odpowiada. Drobne 10 gr. Poszukiwanie pracy 5 groszy. Najmniejsze 50 gr

Redakcja i Administracja. Piotrkowska № 49. Telefony redakcji: 27-24. 35-43, 33-44 — — Telefon administracji 22-14. — — — —

Godziny przyjęć redakcji 6 —7 po poł. Rękopisów niezamówionych nie zwraca się. — — —

Ogłoszenia kolorowe (minimalna wielkość ćwierć strony) 100 procent drożej.